

# Złoto Gór Trzyczaszkowskich

Karolina von Lichtenstein

Czarnolas, 14.12.2013

*Historia ta zaczęła się dawno temu. Pierwszy odcinek został opublikowany 27 maja 2012 roku, zatem jakoś z czterech Regentów i dwóch Księżów temu. Bardzo dawno, w każdym razie, jeszcze wtedy, gdy w Czarnolesie nie mieszkałam. Większość moich tekstów szczyli się niechlubnym statusem zaczętych i nigdy niedokończonych. Z tą opowieścią udało mi się. Zachęcam więc do recenzowania i krytykowania. Bo krytyka, drodzy państwo, wzmacnia autora. A wiem, że mój warsztat wymaga jeszcze długiej pracy.*

*W każdym razie, miłej lektury.*

(—) Karolina von Lichtenstein

Niewielu wie o tym, że niegdyś Marchia Trzyczaszkowska była prężnie działającą prowincją. Dziś to mało znane, ponure miejsce, które źle się kojarzy. Nie bez powodu. Przez wyniszczające wojny prowincja przestała funkcjonować normalnie. Stała się cmentarzyskiem martwych dusz. Tam chowano tych, których życie systemowe skończyło się przedwcześnie. Tam chowano tych, o których nie chciano pamiętać.

Któż lubi chodzić po nekropoliach? Lepiej o nich zapomnieć. I tak też się stało – Trzyczaszkowo z czasem zostało zapomniane przez Sarmatów, tak bardzo wielbiących życie. Być może od czasu do czasu ktoś coś szepnął w jakiejś rozmowie, jednak zostawał szybko uciszony. Któryś z instytutów zamierzał wysłać ekspedycję w celu zbadania jakichś rzadkich gatunków roślin, jednak jakimś cudem – jako jedyna ze wszystkich – nie doszła ona do skutku. W końcu martwych lepiej nie budzić.

*Czarnolas, biuro Kasztelana*

- Jaśnie Wielmożny Kasztelanie, niezapowiedziany gość żąda rozmowy z Wami.
  - Kto? – spytał Jakub Bakonyi, podnosząc głowę znad kolejnego, jakże ciekawego, sprawozdania, które miał wysłać Księżu w następnym tygodniu.
  - Nie chce się przedstawić, Wasza Wielmożność – odpowiedział służący – Twierdzi, że przychodzi ze sprawą, która jest bardzo ważna dla przyszłości Księstwa, że zacytuję, ku pozwoleniu Waszej Wielmożności.
  - Zezwalam – odparł krótko Bakonyi, wracając do sprawdzania liczb w bilansie. Po chwili uświadomił sobie jednak, że nie o to był pytany. – Ach, tak, gość... Wpuść go, najwyżej go odprawię. Piekielna matematyka!
- Służący, przyzwyczajony do problemów z koncentracją u jego zwierzchnika, tylko skinął głową i wyszedł z biura. Drzwi zaskrzypiały. *Muszę je w końcu wymienić* – przemknęło przez głowę

Kasztelanowi, zanim podniósł głowę – bowiem w międzyczasie zdołał znów sprawdzić parę liczb w swoim sprawozdaniu. Oczom jego ukazał się niski mężczyzna w brązowym habicie zakonnym.

- Słucham? – zaczął Bakonyi bez ceregieli. Nienawidził on marnowania czasu, zwłaszcza na coś tak nieistotnego, jak powitania.
- Niebezpieczeństwo przybyło – odparł gość.
- Słucham? – powtórzył Kasztelan, jakby nie dowierzając temu, co usłyszał przed chwilą – Ma pan mi coś ciekawego do powiedzenia?
- Tak – odpowiedział – Niebezpieczeństwo przybyło. Trzyczaszkowo ożyło.
- Rymy są zaiste ciekawe, ale nie mam czasu na ich słuchanie. Proszę przejść do rzeczy albo nasza rozmowa zostanie zakończona – rzekł Jakub z nutką niecierpliwości w głosie.
- Trzyczaszkowo ożyło – powtórzył zakonnik – Martwi wychodzą z ziemi. Zagrażają wszystkim. A Czarnolas jest najbliższym. Będzie pierwszym ich celem.
- Słucham? – po raz trzeci powtórzył Kasztelan – Niby czemu ktokolwiek w Trzyczaszkwie miałby żyć? Przecież to martwe miejsce!
- Ale martwi wychodzą z ziemi – ze stoickim spokojem odparł mężczyzna – To nie jest dobre.
- Bzdury pan gada. Martwi ludzie mają to do siebie, że w ziemi leżą, a nie z niej wychodzą. Proszę w tej chwili wyjść stąd i nie marnować więcej mojego bezcennego czasu! – Kasztelan podniósł ton głosu, nieco poirytowany gościem.
- Dobrze. Ale zobaczy pan. Oni żyją – odparł zakonnik i ruszył w kierunku drzwi. Jednak Bakonyi już nie słuchał go, pogrążając się w swojej pracy.

### *Grodzisk*

Słońce oświetlało cały Grodzisk swoim blaskiem już od rana. Nic dziwnego, że Minister Obrony Narodowej szedł po grodziskim chodniku w bardzo wesołym nastroju.

- Param pam pam, dzisiaj dokupimy dodatkowy kram! – naprędce sklecił rym, z którego był tak dumny, że aż go powtórzył parę razy. – O tak, kramy to przyszłość almerskiego zboża! Niestety, bardzo filozoficzne rozmyślenia pana ministra zostały przerwane przez wibracje telefonu w jego kieszeni.
- Tak, słucham Cię, mój drogi Krzyyysiu?
- Panie ministrze, przyjechał Książę i prosi pana, żeby wrócił do biura – w słuchawce rozległ się głos Krzysztofa Bojara, starosty grodziskiego i jednocześnie sekretarza w ministerstwie.
- Książę? Król Baridasu? – Minister Wiśnicki osłupiał. – Ale czemu?
- Nie wiem, niech pan szybko przychodzi! – odparł Bojar i rozłączył się. *A co z moim grillem, co z moim piwem, które miałem wypić za pięć minut?* – mina Wiśnickiego już nie była taka wesoła, jak przed paroma minutami. – *No trudno, Król przyjechał, znaczy się, coś ważnego...*

### *Godzinę później, to samo miasto*

- Proszę mi wybaczyć, panie ministrze. – powitał go Książę – Nie niepokoiłbym pana, gdyby nie było potrzeby.
- Ale widocznie jest – odparł Wojciech Wiśnicki, rozsiadając się na krześle przeznaczonym dla

gościa, podczas gdy władca siedział za biurkiem w gabinecie ministra, zaś zaafierowany Bojar przygotowywał kawę.

– Ano jest – zgodził się Piotr Grzegorz – Otrzymałem niepokojące doniesienia ze Starosarmacji. Prawdę mówiąc, wezwałem także Kanclerza. Lada chwila powinien się tutaj pojawić.

*Fiu, fiu, coś poważnego...* – pomyślał Wiśnicki, zaczynając się lekko denerwować – Rozumiem.

– powiedział na głos – W takim razie może zaczekajmy z rozmową na Grigorija.

– Oczywiście – odparł Księżę. – Normalnie porozmawiałbym z samym Kanclerzem, ale sądzę, że sprawa ma bardzo wysoki priorytet i że można pana dopuścić do tajemnicy.

– Tak, jasne, dziękuję za zaufanie – odparł szybko speszony minister.

– Witam Waszą Księżęcą Mość! – rozległ się tubalny głos Kanclerza, który właśnie wszedł do gabinetu. – Cóż sprowadza Księcia z wandnego Genosse–Wanda–Stadt do naszej skromnej stolicy?

– Tak jak już zacząłem mówić panu ministrowi, otrzymałem niepokojące doniesienia ze Starosarmacji – zaczął Księżę. – Zapewne obaj wiecie, że mamy w Sarmacji taki region jak Marchia Trzyczaszowska – popatrzył po wszystkich obecnych w pokoju.

– Trzyczaszkowo? To nie tam wysyłają te wszystkie martwe dusze i w ogóle? – wtrącił się Bojar.

– Tak, dokładnie tam – odparł władca – Żaden człowiek nie postawił tam nogi od... od bardzo dawna. Ale... – zawahał się na chwilę – Ale dzisiaj mój człowiek wrócił z Czarnolasu. Powiem krótko. Bakonyi twierdzi, że odwiedził go jakiś dziwny facet, ostrzegając przed zmarłymi. Nie, nie – Księżę podniósł rękę, widząc, że Wiśnicki otwiera usta, aby coś powiedzieć. – Proszę poczekać, panie ministrze. Dziwni goście zdarzają się codziennie, ale Bakonyi twierdzi także, że ludzie spod Czarnolasu skarżą się na dziwne rzeczy. Jednemu padła krowa, drugiemu studnia wyschła.

– I zostaliśmy wezwani tutaj tylko dlatego, że ktoś wymyślił sobie bajkę o Trzyczaszkanie, Wasza Miłość? – spytał Grigorij.

– Nie, panie Kanclerzu. Nie uznałbym tego za bajkę.

W gabinecie zapadła cisza, przerywana tylko terkotem ekspresu do kawy.

– Ale... ale... to bez sensu! – wykrzyknął Grigorij.

– Prawdę mówiąc, dzisiaj dotarły do Ministerstwa raporty z patroli militarnych. Miałem zwrócić panu ministrowi uwagę na te z Czarnolasu, ale kompletnie zapomniałem. – zaczerwienił się Krzysztof Bojar – Sądziłem, że to nieważne.

– Co tam było?! – spytał poddenerwowany Wiśnicki.

– Wspominano o niepokojach na granicy i pogarszającej się atmosferze, ale wiązałem to z jakimiś wewnętrznymi sprawami Czarnolasu – wyjaśnił. – A... I zaginął jeden żołnierz. Ale nie wiadomo, czy nie zgubił się po prostu w lesie po suto zakrapianej imprezie. Jego kompani twierdzą, że wieczorem z nimi pił, rano zaś już go nie było.

– Zniknął jak kamfora, hm? – zagaił Księżę.

– Tak, dokładnie tak... – potwierdził Bojar.

– Przepraszam, czy w to piękne piątkowe popołudnie wy mi mówicie, że w Trzyczaszkanie... ożyli zmarli i... zaczęli straszyć? – odezwał się Grigorij.

Znowu zapadła cisza.

– Nie no, panowie, bez jaj!

- Ja tak sobie myślę... – odezwał się Wojciech – Tak sobie myślę, że to może jakiś wywiad z obcego kraju robi nam zamieszanie na granicy? Bo ja wiem... Scholandczycy, Dreamlandczycy, ludzie z Al Rajnu?
  - Możliwe, możliwe... – pokiwał głową zamyślony Bojar – Ci z Al Rajnu nigdy nas nie lubili...
  - Wydaje mi się, że najrozsądniejszym wyjściem będzie wysłanie ochotników do Trzyczaszkowa – oznajmił Książę – Przyjadą, zbadają sytuację i powiedzą nam, co się tam dzieje.
  - Nie chcę być pesymistyczny, Wasza Miłość, ale jeśli tam są zombie, to wątpię, że otrzymamy jakikolwiek raport stamtąd – powiedziawszy to, Grigorij wstał i podszedł do okna – Z tego, co pamiętam, nie mamy żadnej broni, której można by użyć przeciw ludziom, którzy umarli i żyją. Więc wyślemy kogoś na pewną śmierć? To niewandne.
  - Nikt nie mówi o śmierci – skontrował Piotr Grzegorz – Po prostu i tak musimy tam kogoś wysłać.
- W gabinecie zapadła cisza. Po raz trzeci dostojnicy Księstwa nie wiedzieli, co powiedzieć.
- Czy mamy inny wybór, Panie Kanclerzu? – spytał Wiśnicki.
  - Nie – odparł krótko Grigorij – Nie mamy.

### *Czarnolas*

- Jaśnie Wielmożny Kasztelanie, ochotnicy na misję tu przyszli i zgłaszają gotowość do wyjazdu.
- Wprowadź ich – odparł Bakonyi, wyciągając z aktówki dokumenty. Ujrawszy dwóch mężczyzn wchodzących do biura, skinął głową ku nim i wyciągnął papier.
- Proszę tylko tutaj złożyć podpisy, że zgadzacie się na wyjazd w celu służenia interesom Księstwa, i że zgadzacie się na poniesienie ewentualnych konsekwencji tego wyjazdu, w tym śmierci – powiedział urzędowym tonem.
- Jasne – odparł jeden z gości. Po podpisaniu się, oddali kartkę Bakonyiemu.
- No to tyle – powiedział Kasztelan – Wyposażenie dostaniecie na dole. Życzę powodzenia – dodał po chwili namysłu.
- Dziękujemy – odparli i wyszli z biura. Kasztelan Czarnoleski popatrzył na papier. Ujrawszy podpisy, zamrugał oczami. *Intrygujące, ciekawe czy najpierw ktoś ich zabije, czy oni kogoś zabiją śmiechem* – pomyślał. Na kartce było widać podpisy Johna Rasmusena i Gauleitera Kakulskiego.

### *Gdzieś, kiedyś, daleko stąd*

- Czy to już jest gotowe? – spytała postać osłaniająca swoją głowę ciemnym kapturem.
- Tak, bracie – odparła druga, podobnie ubrana, osoba.
- Doskonale. Jesteśmy coraz bliżej. Już niedługo źródło stanie otworem dla nas i Sarmacja będzie nasza!

### *Gdzieś na równinach gellońsko–starosarmackich*

– Sz–sz–sz...

– Aleś ty gadatliwy – mruknął John, patrząc przed siebie i jednocześnie operując kierownicą samochodu z Scholandische Motorwerke.

– Sz–sz–sz...

– A możesz konkretniej? – spytał, uparcie obserwując drogę.

– Sz–sz–sz...

W tym momencie John już nie zdzierzył i zdenerwowawszy się, zerknął na miejsce pasażera. Zdenerwował się jeszcze bardziej, gdy nie ujrzał tam swojego towarzysza podróży – Gauleitera Kakulskiego. Zamiast Scholandczyka siedziała tam jakaś zakapturzona postać, która ciągle wpatrywała się przed siebie i wydawała z siebie odgłosy przypominające szum.

– Sz–sz–sz...

– Ekhm? – John zatrzymał auto i spojrzał na personę. – Przepraszam... Ale kim pan jest?

– Ja? – zdziwiła się szczerze postać w kapturze – A po co to panu wiedzieć?

– No, siedzi pan w moim samochodzie, chyba mam prawo to wiedzieć? – odparł Rasmusen, zastanawiając się, czy przypadkiem nie wypił za dużo poprzedniej nocy, gdy z Gauleiterem natrafili, zupełnie niespodziewanie zresztą, na karczmę w środku dziczy.

– A tak sobie wsiadłem – odparł nieznajomy – Czemu zatrzymałeś pojazd, człowiecze?

– Nie lubię niespodziewanych gości – rzekł satyryk, spoglądając z ukosa na istotę okupującą siedzenie pasażera – Mówię to najzupełniej poważnie.

– Obawiam się, że nie może się pan mnie pozbyć – głos wydobywający się spod kaptura stał się jakby zimniejszy i twardszy, niczym najlepszej jakości miecz z Elsynoru.

– A jeśli mogę spytać, gdzie jest Kakulski?

– Pewnie został w tej karczmie – wzruszył ramionami gość – Jedź, człowiecze, bo zaraz się zdenerwuję.

John spojrzał przez okno, jakby oczekując, że znajdzie tam odpowiedź na to, co teraz zrobić. Gdy wpadła mu do głowy myśl, odwrócił się do siedzenia pasażera, otwierając usta. Jednak siedział tam nie pan w kapturze, a blondwłosy Scholandczyk.

– No co? – spytał.

John, nie mając innych perspektyw przed sobą, zdecydował się na dalszą jazdę bez zbędnego zastanawiania się nad całą sytuacją. Miał tylko nadzieję, że zdoła dotrzeć do baridajskiej kliniki św. Jakoba, zanim popadnie całkowicie w obłąd.

### *Czarnolas, Gabinet Kasztelana Bakonyiego*

– Dzień dobry – rozległ się tubalny głos.

– Janie, czemu nie zapowiedziałeś interesanta? – mruknął pod nosem Kasztelan, podnosząc głowę. Zamiast Jana ujrzał jednak nieznaną osobę w czarnym płaszczu. Nie mógł dostrzec nawet jej twarzy, bowiem była ona zakryta kapturem. – Janie? – powtórzył, nieco głośniejsze.

Bakonyi nie cierpiał nieporządku. A sytuacja, w której ktoś nieznajomy i niezapowiedziany siedział w jego gabinecie, do takich niewątpliwie się zaliczała.

– Kim pan jest? – spytał, zorientowawszy się, że Jan raczej nie przybędzie i w myślach przeliczając potrącenia z jego wynagrodzenia. Po chwili jednak zaczęło mu się rozjaśniać w głowie. Zanim przerażenie zdążyło ogarnąć jego umysł, gość odpowiedział

– Jestem tym, kim jestem.

Chwilę później z gabinetu Kasztelana ktoś wykonał telefon do Premiera Gellonii i Starosarmacji informujący o dymisji Bakonyiego i emigracji na spokojną, gellońską wieś, gdzie ma nadzieję zaznać odpoczynku po trudach ciężkiej pracy. Niestety, zaraz po tej informacji telefon został odłożony, więc Premier mógł tylko bezskutecznie usiłować dodzwonić się do gabinetu. Normalnie by się tak bardzo nie przejął tą informacją – zawsze twierdził, iż Jakubowi należy się urlop, ale niepokoiło go mocno, że nie wiedział nawet, kto będzie następcą Kasztelana.

### *Gdzieś na równinach Gellonii i Starosarmacji*

– Ładny dzień.

John zerknął w stronę siedzenia pasażera. Siedział na nim Gauleiter i z uśmiechem obserwował widok za oknem.

– Hm – mruknął Rasmusen pod nosem – Ciekawe wyznanie.

– A co mam innego tutaj podziwiać? – odparł Kakulski. – Te lasy przypominają mi lasy mojego dzieciństwa – dodał.

Gauleiter, wyglądając przez szybę, zaobserwował nagle jakąś postać na skraju ścieżki. Wydało mu się dziwne, że ktoś żywy wędruje po tych okolicach w czarnym płaszczu i z kapturem na głowie, więc skupił uwagę na tej osobie.

– Co tam oglądasz? – dobiegł go głos Johna.

– A... – zaczął Kakulski, zerkając na towarzysza i ponownie patrząc za okno. Mrugnawszy oczami, przekonał się, iż postaci już nie było. – A, hm... Coś mi się przywidziało...

– Dziwne, bo mnie też – mruknął Rasmusen, skręcając w lewo.

– Pewnie taki facet w kapturze i płaszczu, co? – żartobliwie odparł Gauleiter, rozluźniając się. Był prawie pewien, że zaobserwowana postać była wytworem jego zmęczonej długą wyprawą wyobraźni.

– A wiesz, że tak? – John podniósł wzrok zza kierownicy. – Do tego siedział na twoim miejscu. Prawda, że zabawne? – zachichotał, lecz chichot ten zabrzmiał raczej wymuszenie i nerwowo.

– Hm – zamyślił się Gauleiter, już wcale nie taki rozluźniony. – Zaczynam mocno nie lubić tego całego Trzyczaszkowa.

### *Gdzieś, kiedyś, daleko stąd*

– Tak, to już niedługo – wyszeptał – Już niedługo nasze krzywdy zostaną pomszczone i wrócimy w pełnej krasie!

– Pokażemy Sarmatom! – podchwycił drugi głos – Pokażemy im, że z Zakonem się nie zadziera! Nie na darmo mamy w herbie owcę!

– Otóż to, bracie, otóż to. Gdy dotrzemy do źródła, wtedy już nikt się nie uchroni przed nami.

### *Gabinet Księcia Sarmacji*

– Masz już kandydata na Kasztelana? – rzucił Książę do telefonu, jednocześnie patrząc

rozpaczliwie na stos papierów leżących na biurku i domagających się uwagi. Niestety, piątek nie był, wbrew pozorom, luźnym dniem dla monarchy. Od rana przyjmował wizyty lokalnych szczytów i głów samorządów w związku z planowanymi zmianami w gospodarce Księstwa, co też odbiło się na jego nerwach.

– No, niestety, Wasza Książęca Mość... – mruknął w telefonie Piotr Mikołaj – Nie bardzo.

– A Bakonyi się w ogóle nie odzywa?

– No nie, zniknął, przepadł jak śliwowica diuka Koniasa na zjeździe sarmackim – odparł Premier.

– Ci wojskowi z Czarnolasu, oni też chyba przepadli? – zapytał Książę, wypowiadając swoje myśli na głos. – To chyba trochę niepokojące?

– No, trochę... – znów mruknął Premier. – Mam tu trochę na głowie, przedzwonię później – oznajmił, po czym rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Książę zerknął znów na swoje biurko i westchnął.

– Ciężkie jest życie monarchy, ciężkie...

### *Czarnolas, Biuro Gońca Czarnoleskiego*

Ludność czarnoleska, usłyszawszy o dymisji Kasztelana, lekko się zaniepokoiła. Wielu było zaskoczonych tym, że długoletni właściciel miasta nagle postanowił zrezygnować z zarządzania nim, nie pozostawiając żadnych dyspozycji co do przyszłości Czarnolasu. To było bardzo nie w stylu pedantycznego Bakonyiego, u którego biurokracja mogła z powodzeniem konkurować z grodziską w potencjalnych Sarmackich Igrzyskach Biurokratycznych.

Zaczął się więc w mieście obieg plotek umiejętnie podsycanych przez doświadczonych demagogów. W efekcie przed Pałacem Kasztelańskim codziennie widać było grupki protestujących skandujących antyksiążęce hasła. Bowiem kto, jeśli nie Książę, mógł chcieć dymisji zasłużonej dla Czarnolasu osoby? Co prawda, nikt nie wiedział, czemu akurat by jej chciał, ale każda okazja była dobra do zademonstrowania niezadowolenia ludu.

Na protestujących patrzył z okna swojego biura diuk Czuguł-Chan, ze smętną miną zastanawiając się nad tym, co czynić dalej. W Pałacu Kasztelańskim panował chaos, od kiedy odkryto, iż Bakonyi zniknął. Jego lokaja też nie można było nigdzie znaleźć. Atmosfera została tylko podsyczona w momencie, gdy otrzymali telefon z Grodziska o dymisji Kasztelana. To wszystko było tak bardzo nie w jego stylu, że aż martwiące.

### *Gellońsko–starosarmackie równiny*

– Nie wyjedziemy – zawyrokował John, oglądając samochód, który utkwiał w błocie. W tej części prowincji ścieżki były już kiepskiej jakości, a czasem już w ogóle nie istniały.

– I co my powiemy tym urzędasom? – zaczął biadolić Gauleiter – Przecież w życiu nie uwierzą, że wpadliśmy w błoto i jeszcze do tego odpadło nam koło!

– Uwierzą – mruknął Rasmusen – Nie będą mieli wyboru. Jesteśmy bohaterami narodowego humoru i satyry, zarabiamy kokosy, więc po co byśmy mieli potrzebować służbowego dżipa prowincji?

– Nie byłbym taki optymistyczny. Ale dobrze – odparł Gauleiter – Dobrze! Ruszajmy więc w

drogę, panie bohaterze!

Wyciągnąwszy plecaki z samochodu, rozejrzeli się dookoła. Byli na jakimś rzadko uczęszczanym trakcie, który w pewnym momencie zamieniał się w ciężkie błoto, zapewne wskutek niedawnych opadów w tej części Starosarmacji.

– To może chodźmy tędy... – John wskazał drogę, którą by pojechali dalej, gdyby nie efektowne utknięcie samochodu scholandzkiej firmy w błocie. Gauleiter nie miał nic przeciwko, więc zaczęli maszerować.

Po paru godzinach intensywnego marszu obaj uznali, iż czas na jakiś odpoczynek, zwłaszcza, że już zaczęło się ściemniać. Rozłożyli się więc ze swoim ekwipunkiem między drzewami.

– No, i co dalej? – spytał Gauleiter, wyciągając z plecaka kanapkę. – W sensie, dojdziemy do tej bramy Trzyczaszkowa, i co dalej?

– Nie wiem – wzruszył ramionami John – Zobaczymy, co tam siedzi, zdamy raport Czarnolasowi i zwijamy się do domu.

– Hm – mruknął Kakulski – Trochę mnie martwi brak kontaktu ze światem.

– Jakbyś nie zapomniał wziąć telefonu z biura Kasztelana, to by Cię to nie martwiło – zripostował Rasmusen – A teraz cierp, człowieku.

– Cierpię z godnością, jakbyś nie zauważył! – uniósł się Gauleiter. – Bo...

Niestety, Scholandczyk nie zdołał dokończyć swojej wypowiedzi, albowiem poczuł, iż trafiło go coś mocnego w plecy.

– Co, do chole...!

### *Gdzieś w gellońsko–starosarmackim lesie*

– Co do chole...! – rozdarł się Gauleiter, jednakże w dokończeniu przerwała mu zabłąkana skała, o którą się potknął, usiłując zrobić krok do przodu. Runął jak długi na ziemię i ujrzał nad sobą trupioblada twarz okrytą kapturem.

Otworzywszy usta, próbował wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, lecz skutecznie przeszkodził mu w tym John, który skoczył na napastnika, jednocześnie przydeptując nogą brzuch Scholandczyka. Agresor starał się bronić, lecz Rasmusen zdołał go powalić na ziemię. Skoczywszy na niego, przytrzymał go przy gruncie, po czym odetchnął.

I był to błąd. Napastnik, wykorzystując moment nieuwagi, wyjął nóż i próbował dźgnąć nim Johna. Rasmusen w ostatniej sekundzie zorientował się w sytuacji. Złapawszy przeciwnika za rękę, wykręcił mu ją i wyciągnąwszy nóż, wbił go w ciało agresora.

Gdy napastnik wydał z siebie ostatnie oznaki życia i definitywnie zamarł na zawsze, John westchnął.

– Co tu się dzieje? – rozległ się nagle tubalny bas. Obaj panowie zwrócili się w stronę źródła głosu. Między drzewami stał niski, przygarbiony człowiek. – No? – spytał ponownie, po czym spojrzął na człowieka leżącego pod Rasmusenem. – Ach... – westchnął – Zapraszam do mojego domu, pewno potrzebujecie pomocy.

### *Gabinet Księcia Sarmacji*

- To przekracza wszelkie granice! – krzyknął do słuchawki telefonu wzburzony Książę – Macie natychmiast znaleźć Bakonyiego!
- Ale, Wasza Książęca Mość... – próbował powiedzieć Premier Gellonii i Starosarmacji.
- Nie, macie go znaleźć. Nie obchodzi mnie nic, macie go znaleźć! – Książę zaczerpnął oddechu. – Ludzie mi protestują w Czarnolesie, że ja niby kazałem go uprowadzić. Słyszałeś Ty kiedyś lepszy dowcip, hę?
- Niestety, nie... – odparł Premier – Ale naprawdę nie wiemy, gdzie on może być...
- To wyślij ludzi na poszukiwania, od czego ich masz? Niech się nie duszą przy biurkach, tylko ruszą tyłki!
- Dobrze, Wasza Książęca Mość – służbiście oznajmił Piotr Mikołaj – Wyślę.

### *Ministerstwo Obrony Narodowej, Srebrny Róg*

- Panie Wiśnicki! – do gabinetu wbiegł jeden z sekretarzy ministerstwa – Panie Ministrze! Niech pan to przeczyta! – krzyknął, kładąc mu na biurku telegram.
- Wojciech Wiśnicki, Minister Obrony Narodowej, nie tracił czasu na zbędne pytania. Sięgnawszy ręką po kawałek papieru, zaczął go czytać.
- O cholera – powiedział – Niedobrze – dodał, chwytając za telefon. Po chwili miał jasny ogład całej sytuacji.
- Rano na śniadaniu nie pojawiła się połowa żołnierzy z czarnoleskiego garnizonu. Dochodzenie wykazało, iż jeszcze wieczorem byli obecni na kolacji, po czym udali się na patrol wokół murów miasta. Najprawdopodobniej już nie wrócili. Uszczuplenie zapasów garnizonu, zwłaszcza w obecnej, krytycznej wręcz sytuacji, było bardzo nie na rękę wojskowym, jednakże minister obiecał im osobistą wizytę już w tym tygodniu.
- Ciekawe, co robią ten cały Rasmusen i Kakulski, mogliby już dać znać – mruknął Wiśnicki pod nosem, odkładając słuchawkę telefonu.

### *Gdzieś w domu w gellońsko–starosarmackim lesie*

- Wszystko zaczęło się parę miesięcy temu – westchnął gospodarz. – Zaczęły wylazić te dziwne, no... Ludzie w czarnych płaszczach z kapturami na głowie. I ludziom zaczęło się przywidywać, no, taki jeden mówił, że widział gdzieś takiego czarnego fircyka, gdy stał obok drugiego, a drugi mógłby własną głową zaświadczyć, że nikogo nie widział – opowiadał.
- Gauleiter i John spojrzeli na siebie w tym samym momencie.
- Ten gościu siedział na twoim siedzeniu... – cicho powiedział John.
- A ja widziałem go za oknem – odparł Gauleiter. – Czyli to były tylko zwidy?
- Cholibka wie, czy to zwidy – wzruszył ramionami. – Przeca zabiliście jednego dziś. Od nas paru też się biło. I paru zniknęło.
- Ano tak – filozoficznie odparł Rasmusen, wciąż niezbyt zadowolony z tego doświadczenia życiowego.
- Ale skąd oni się biorą? – spytał Kakulski – Tak sami z siebie wychodzą i atakują?
- Anu, krąży taka historia, ale ja nie wiem, czy ona prawdziwa – gospodarz popatrzył po swoich gościach. – Mówi ona, że był sobie taki król na Trzyczaszkwowie, zwał się on Karol Mściwy. No i

tenże król rządził okrutnie i niesprawiedliwie, to go chcieli, prawda, usunąć – starzec przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu. – No ale nie usunęli, a król powiesił spiskowców. No i mówią, że te wszystkie – machnął ręką w powietrzu. – Te wszystkie dziwa i cudy to z tych spiskowców, że ich zemsta. Ale ja tam nie wiem – wzruszył ramionami.

– To nie ma sensu – oznajmił Gauleiter – Spiskowcy po paru stuleciach zaczęli się domagać sprawiedliwości? Trochę długo im to zajęło.

– Życie – filozoficznie znów rzekł John – Bądźmy poważni niczym Antoni Herman Strzałecki i zastanówmy się, co do tej pory ujrzeliśmy?

– Ty zobaczyłeś gościa na moim siedzeniu, ja jakiegoś za oknem... – zaczął wyliczać Gauleiter

– Tam w Czarnolesie mówili, że paru żołnierzy zniknęło na patrolu, tu też paru wieśniaków... – kontynuował, wytyżając pamięć.

– No, i ten facet znikąd nas zaatakował kompletnie po ciemku – dodał John.

– A poza tym, w Trzyczaszkwie pochowanych jest znacznie więcej ludzi, niż jacyś tam marni spiskowcy sprzed paru wieków – powiedział Kakulski – Skąd w ogóle ta opowieść? – zwrócił się do gospodarza.

– A bo ja wiem – wzruszył ramionami. – Mnie opowiedział stary Wróbel, jemu pewnie Teresa, ta z lasu... Chociaż nie – zamyślił się na chwilę. – Wróbel to, zdaje się, mówił, że służki pana Bakonyiego, te z jego pałacu pod Czarnolasem, tę historię opowiadały. A skąd one wiedzą, to ja nie wiem – wzruszył ponownie ramionami.

– Bakonyi? Kasztelan? – mruknął Gauleiter – A czemu miałyby takie dziwne plotki rozprowadzać? Czy przypadkiem jemu wręcz nie zależało na wyjaśnieniu tej sprawy?

– Chyba, że... to jakiś jego wróg je rozprowadza – zastanowił się John – To ma nawet sens. Robisz coś nielegalnego, a potem rozprzestrzeniasz ploty o jakiejś ludowej legendzie. I ciemny lud w to wierzy.

– Ale Bakonyi chyba by nie zezwolił sam z siebie na coś takiego. A musiał wiedzieć o tych plotkach. To jest bardzo praktyczny człowiek, szybko by je zdementował. No, chyba że... – Gauleiter zawiesił głos – Sam jest zamieszany w tę sprawę.

### *Czarnolas, Biblioteka Miejska*

– Proszę pani, czy mogłaby mi pani... – zaczęła Paulina Buddus, aby umilknąć pod surowym spojrzeniem bibliotekarki. Jej wzrok mógłby z pewnością konkurować z mocami Meduzy.

– Czego? – spytała, nie ukrywając irytacji.

– Czy mogłaby mi pani pomóc znaleźć książkę? Szukałam...

– Którą? – krótkie pytanie ucięło potencjalną próbę tłumaczenia okoliczności poszukiwania książki.

– „Legendy Trzyczaszkowskie” Jana z Czarnolasu – odparła Paulina nieco drżącym głosem. Ledwie skończyła wypowiadać tytuł, poczuła że bibliotekarka badawczo się jej przygląda, jakby szukając czegoś na jej ubraniu.

– To zaiste dziwne – rzekła niezwykle cicho – To zaiste dziwne. Wczoraj przychodzi młody człowiek i pyta się o tę książkę. Potem w nocy zostaje ukradziona. A teraz przychodzisz ty, panienko. Czemu?

Paulinę zamurowało. Po chwili, gdy odzyskała głos, mogła odpowiedzieć.

– Właściwie to tylko na wykłady... To znaczy... Chciałam przygotować prezentację o Trzyczaszkwie i słyszałam, że najłatwiej jest zdobyć tę książkę, bo w niej jest sporo informacji... No i trzecia biblioteka mówi, że jej nie ma... Jejku! – krzyknęła z rozpaczy.

– Może są jakieś skany stron z tej książki – rzekła zamyślona bibliotekarka – Pamiętam, że przynajmniej parę razy je robiliśmy na specjalną prośbę studentów ze Scholandii. Poczekaj chwilę, panienko – poprosiła i zasiadła przed monitorem komputera.

Po paru minutach poszukiwań, które Paulinie zdawały się być wiecznością, mina bibliotekarki powiedziała wszystko.

– To niemożliwe – jej głos zaczął zdradzać objawy zdenerwowania – Przecież były e–maile i pliki na komputerze... I one wszystkie zniknęły. To niemożliwe.

Buddusówna zrozumiała, że już nie może tutaj za wiele zrobić, więc pożegnała się i wyszła. Swoje kroki skierowała w stronę redakcji Gońca Czarnoleskiego, jednocześnie zerkając, czy na wyświetlaczu telefonu nie pojawiła się nowa wiadomość od Akademika.

### *Gdzieś w gellońsko–starosarmackim lesie*

John i Gauleiter szli przed siebie, uważnie się rozglądając na wszystkie strony. Mieli – wedle słów człowieka, który ich ugościł – iść „prosto, za księżycem, a jak będzie jasno, to patrzeć, czy drzewa takie brązowe, czy mniej, bo takie bardziej to, panie, zaprowadzą was do miejsca, gdzie może znajdziecie to, czego szukacie”. Gospodarz nie sprecyzował, gdzie ich wysyłał, ale zasadniczo była to ich jedyna szansa, aby cokolwiek działać, więc mogli tylko spróbować. Zresztą, instynkt Gauleitera mówił mu, że może to być dobry trop.

John szedł, czując rosnącą grozę wokół niego. Nie myślał, że wyjaśnienie dziwnych zjawisk w Trzyczaszkwie będzie łatwe, ale dopiero teraz sobie uświadomił, że największym zagrożeniem nie jest bycie w dziwnej okolicy z dziwnymi zjawiskami, ale raczej niewiedza na temat tego, co te zjawiska powoduje. Nie wiedział, czego się spodziewać i tego się najbardziej bał.

Gauleiter z kolei był dobrej myśli. Dlatego też, zamiast zajmować się analizowaniem swojej przyszłości zapowiadającej się w czarnych barwach, uważnie patrzył, czy drzewa nie zmieniają przypadkiem swojego koloru. W ten sposób udało im się już parę razy skrócić. Gauleiter zauważył, że wraz z każdym kolejnym przebytym kilometrem teren stawał się jakby mniej równinny, bardziej górzysy, drzewa stawały się coraz rzadsze.

– Ten gościu... – odezwał się John – Co jeśli on nam opowiedział coś, co chciał, abyśmy usłyszeli, a nie to, co wiedział?

Kakulski odwrócił się i zwolnił nieco tempa, aby iść obok Johna.

– Kwestionujesz uczciwość naszego gospodarza? – spytał.

– No bo spójrz... Pojawił się w lesie dokładnie wtedy, kiedy straciliśmy orientację i przyjęlibyśmy każdą pomoc. Już pal licha napastnika, cokolwiek to było. Facet pojawił się w idealnej porze. To jest jeden – John odgiął palec, wpatrując się w rękę. Odgiąwszy drugi, kontynuował. – Dwa... Mówił o jakichś „dziwach i cudach”. I na tym w zasadzie poprzestał. Normalny chłop czułby potrzebę podzielenia się większą ilością informacji. Wiem, głupio brzmi, ale... No wiesz, jak ktoś z zewnątrz przyjeżdża, to oni zawsze mówią, że „dzieje się to i to, a tamta Karolowa spod Poddębic miała byka zarżniętego”, czy coś w tym guście.

– Chyba za dużo myślisz – powiedział Scholandczyk po dłuższej chwili. – Gościu jak gościu,

podzielił się z nami informacją. Może akurat nie jest gadatliwy. Albo po prostu nie czuł, że musi o tym wspominać.

– Dla mnie to i tak podejrzane – wzruszył ramionami Rasmusen. – Zresztą, nie wspomniałem o najważniejszym. Znaczący, rzecz, która mnie najbardziej niepokoi. Otóż, drogi Gauleiterze, kto mieszka w środku lasu? Jeszcze lepiej, mieszka w środku lasu i jest na bieżąco z tym, co się dzieje w okolicy!

– Może dzień przed nami ktoś był u niego z informacjami... – zarymował Gauleiter.

– Ale wtedy by, jak to chłop, rzekł, że za dużo w okolicy ludzi nie mieszka, ale czasem do niego przychodzą i powiedzieli mu to i tamto. Nie, serio, nie ufam mu. Nie wiem, co będzie na końcu tej drogi.

– Ale idziemy nią. I nie mamy zbyt wielkiego wyboru – skonkludował Scholandczyk, po czym spojrzął przed siebie – Właściwie to nie musimy nawet dokonywać wyboru. Zdaje się, że już tutaj jesteśmy.

John, dotychczas zapatrzony raczej w ziemię i bijący się z myślami, podniósł wzrok. Przed nim rozciągała się wielka brama wykuta w skale. Jej rozmach był godny podziwu – zdobienia po bokach były bardzo szczegółowe, a całość wieńczył trójkąt z trzech czaszek na czubku bramy. W środku czaszek paliły się świece, co było jeszcze wyraźniej widać ze względu na zapadający powoli zmrok.

– Brama Trzech Czaszek – wyszeptał John – Legendarne wejście w Góry Trzyczaszowskie.

### *Czarnolas, Redakcja Gońca Czarnoleskiego*

– I tak się właśnie przedstawia sprawa – skończyła swoją relację Paulina Ivette Buddus. – Wiem, Heniu, że pewnie jesteś bardzo zajęтым człowiekiem, ale być może będzie to dla ciebie interesujące.

Redaktor Leszczyński zaciągnął się cygarem, postukując palcami drugiej ręki o oparcie fotela, w którym siedział. Po chwili milczenia odłożył je do popielniczki, otrzepał ręce i nachylił się w stronę interesantki.

– Panno Buddus – rzekł. – W normalnych okolicznościach kazałbym iść z tym do działu plotek i ploteczek albo ogłoszeń. Mamy zdecydowanie zbyt dużo roboty z tym zniknięciem Kasztelana. Ale ma panna szczęście. Bo byłem ostatnio u Bakonyiego, parę dni przed jego zniknięciem. Rutynowy wywiad przedstawiciela prasy z urzędnikiem miejskim, wie Panna, jak się tam powodzi, jakie nowe inicjatywy i w ogóle. Zauważyłem na jego biurku egzemplarz książki, tej samej, której teraz panna poszukuje. Pamiętam, że mnie to zaskoczyło, bo jako żywo, Kasztelan był praktycznym człowiekiem i nie przepadał za historiami bez podstaw praktycznych. A do takich należały legendy.

Henryk wstał z fotela i zaczął spacerować po pokoju. Paulina, nie wiedząc co powiedzieć, zachowywała milczenie.

– Spytałem się go, po wywiadzie, czy ciekawa książka. Powiedział, że nie wie, bo szuka tylko jednej rzeczy. Wiadomo, każdy człowiek ma prawo do tego. Ale wszystko, w kontekście tego, że zniknął bez słowa, wykonując tylko telefon do Księcia, czy tam Rady Ministrów, wszystko jest bardzo dziwne! – wypalił Leszczyński, podnosząc głos – Rozmawiałem z nim, przedstawiał konkretne plany, był zadowolony, nie przejawiał żadnej chęci do rezygnacji! Ja przewidziałem

już trzy dymisje ministrów tylko po wywiadach z nimi. Ja wiem, jak takie rzeczy wyłapywać. – Zwrócił się w stronę Pauliny, wpatrując się w nią swoimi czarnymi oczami. – I dlatego nie wierzę, że zrezygnował z własnej woli. Ale nie mam ekipy, aby zrobić tutaj porządne śledztwo.

– Ja mogę – pisnęła Ivette, nie zastanawiając się nad tym.

Po chwili Paulina wyszła z redakcji Gońca Czarnoleskiego z kompletem numerów telefonów, pod które należało zadzwonić, zestawem wskazówek i ogólnym mętlikiem w głowie. A Akademik wciąż nie oddzwaniał.

### *Czarnolas, Biuro Kasztelana*

Czuguł-Chan spojrział na biurko, na którym piętrzyły się stosy papierów. Na samej górze leżał ten najświeższy – kopia aktu prawnego powołującego go na Kasztelana Czarnolasu. Wobec dwutygodniowej już nieobecności Kasztelana Bakonyiego, Książę zdenerwowany całą sytuacją, zdecydował się powołać kogoś, kto był w mieście od dłuższego czasu, był wtajemniczony w arkana pracy w biurze kasztelańskim i miał kompetencje do sprawowania tego urzędu. Wszystko wskazywało na diuka Czuguł-Chana jako idealnego kandydata. Dlatego też Krzysztof stał właśnie w drzwiach swojego biura, nie do końca pewien, co teraz powinien czynić.

– Panie Kasztelanie! – usłyszał głos swojej sekretarki – Jakaś dziennikarka chce z panem rozmawiać.

– Tak szybko? – zdziwił się Krzysztof – Zaproś ją do środka i zrób kawy, jakbyś mogła, Heleno.

– wciąż nie był przyzwyczajony do zwracania się do sekretarki w taki sposób, zwłaszcza, że była ona świeżym nabytkiem. Po zniknięciu Bakonyiego Jan oświadczył, że nie może służyć innemu panu, spakował walizki i wyjechał z Czarnolasu. Powstał więc wakat, na który się zgłosiła ona. Interesująca dziewczyna.

– Oczywiście, Jaśnie Oświecony! – krzyknęła brunetka z entuzjazmem i oddaliła się.

Po chwili w drzwiach biura stanęła rudowłosa dziennikarka.

– Dzień dobry – przywitała się. – Jestem Paulina Ivette Buddus z Gońca Czarnoleskiego. Gratuluję stanowiska – wyrzuciła jednym prawie-że tchem.

– Dziękuję i dzień dobry – odpowiedział diuk Czuguł-Chan, z zainteresowaniem przypatrując się dziewczynie. Przez następne minuty rozmawiali o ogólnych planach na przyszłość i obecnej sytuacji w Czarnolesie. Po tym, jak Krzysztof zakończył dłuższy elaborat na temat odnowienia zieleni w parku miejskim, Paulina zaczęła artykułować kolejne pytanie. Diuk jej przerwał, wyciągając rękę w górę.

– Stop, stop. Przepraszam bardzo, że przerwę, ale nie jestem ślepy. Zadaje mi pani ciągle pytania, ale omija to jedno, które panią bardzo dręczy. Chce pani o czymś zagaic, ale nie wie, jak to zacząć. To bez sensu, bo możemy o parku miejskim gadać nawet trzy godziny, a do niczego nie dojdziemy. To pani jest tu dziennikarką, a nie ja. Niech pani wali, co ma pani na sercu, że tak mało subtelnie powiem.

Buddusówna popatrzyła się na diuka, wyraźnie zaskoczona. Po chwili wahania zapytała:

– Co się stało z Kasztelanem Bakonyi?

Krzysztof westchnął.

– Kasztelan zniknął. Przepadł bez wieści. Ktoś zadzwonił z jego biura do Grodziska z informacją o dymisji i od tej pory nikt nic nie słyszał o Bakonyim. Nie pojawił się w żadnej ze

swoich posiadłości. Nie widziano go na terenie miasta. Ostatnim razem, gdy go widziano, było to jak wychodził z tego biura około godziny dwunastej, czyli parę minut przed telefonem. I nie wrócił.

– Czyli to nie on zadzwonił... – mruknęła Ivette, zapisując coś w swoim notesie.

– Najprawdopodobniej nie – zgodził się diuk – Przeszukano dosłownie każdy centymetr Czarnolasu i przejrzano wszystkie miejsca, gdzie mógł się pojawić. Efektów nie było. Po prostu jakby przepadł.

– Rozumiem, że w poszukiwaniu zaangażowano także i grodzkie służby?

– Tak, tak. Sam Hetman wyasygnował paru żołnierzy z KSZ, profesjonalistów w tego typu sprawach.

– Czyli albo go porwano, albo wyjechał gdzieś nagle, zostawiając komuś polecenie zatelefonowania... – zamyśliła się Paulina – Czy ktoś z jego rodziny albo współpracowników wspominał o czymś takim?

– Nie. Spodziewali się go w domu wieczorem, tak jak zwykle. W sensie, małżonka i dzieci. Nic nie wskazywało na to, że coś się stanie. Wszystko było normalne. Rano wyszedł do pracy, bez żadnych niepokojących oznak. Pytaliśmy o to – rzekł Kasztelan zmęczonym tonem.

– Przepraszam za dziwne pytanie... – zaczęła Ivette. – Ale czytał Jaśnie Oświecony może „Legendy Czarnoleskie”?

Diuk spojrział na dziennikarkę ze zdziwieniem.

– Każde dziecko w Czarnolesie to czytało. To bodaj dalej jest obowiązkową lekturą w miejscowej szkole.

– Nie jestem z Czarnolasu. – Paulina zarumieniła się pod spojrzeniem diuka. – Po prostu pytam... z ciekawości. Właściwie to przyjechałam tutaj, aby wypożyczyć tę książkę.

– Powinni ją mieć w bibliotece – rzucił sucho Czuguł-Chan – Mój syn niedawno wypożyczał, bo zagubił się nam gdzieś nasz domowy egzemplarz.

– Nie mieli. Sprawdzałam we wszystkich bibliotekach – odparła Ivette. – Jedna z bibliotek przyznała się, że ukradziono im tę książkę, dwie pozostałe stwierdziły, że jej nie mają, ale podejrzewam, że panie kłamały i też dokonano kradzieży.

– Ależ... – diuk był zaskoczony – Po co ktoś miałby dokonywać kradzieży czegoś, co posiada każdy w swoim domu?

– Nie wiem. Jakby mi Jaśnie Oświecony załatwił jedną sztukę, to mogłabym się dowiedzieć.

### *Bliżej nieokreślone miejsce w Górach Trzyczaszzkowskich*

– Nasi informatorzy donoszą, że źródło jest niedaleko – rzekła zakapturzona postać – Podobno świeci się i żarzy dokładnie tak jak w legendach.

– Ale i tak do niego nie wejdziemy bez klucza – odparła druga, równie tajemniczo ubrana, osoba.

– A klucza nie mamy.

– Przecież zorganizowaliście tę akcję z wypożyczaniem – tutaj postać nakreśliła w powietrzu znak cudzysłowia – książek? Nic to nie dało?

– Niestety. Najpierw po prostu zabraliśmy książkę temu dzieciakowi, ale potem się okazało, że to egzemplarz z biblioteki. Stwierdziliśmy więc, że w bibliotekach być może znajduje się to, czego szukamy. Przepraszam, bracie, ale i tam tego nie było. Nie wiemy, gdzie szukać.

- W domach!
  - Nie możemy przeszukać każdego czarnoleskiego domu. To ponad nasze siły, bracie. Każdy posiada tę książkę.
  - Nic mnie to nie obchodzi. Macie znaleźć ten klucz do źródła, inaczej kara będzie sroga. A pamiętaj, bracie, że za zasługi wielcy nadprzyrodzeni dobrze nagradzają. Przybyliśmy tutaj, aby uzyskać odwet za nasze rany, i tego dokonamy.
- Druga postać tylko pokiwała głową, milcząc.

### *Brama Trzech Czaszek*

- A więc jesteśmy – rzekł John.
  - Nie zaczyna się zdania od „a więc” – zripostował Gauleiter. – I tak, jesteśmy.
  - Nie wierzę, że nawet przed legendarną bramą tak bardzo dbasz o gramatykę. Zdajesz sobie sprawę, że w tej chwili jesteśmy zdani tylko na siebie? Cokolwiek się nam stanie, nikt nie ruszy natychmiast z pomocą. Żaden człowiek nie przestąpił progę tej bramy od dawna, od bardzo dawna – odparł zirytowany John.
  - Och, spokojnie. Jesteśmy tutaj, bo ktoś tędy przeszedł i robi zamieszanie – machnął ręką Gauleiter – To oznacza, że musimy pójść za nim, niezależnie od tego czy się to nam podoba, bo za to nam jednak płacą.
- Rasmusen westchnął.
- Mam nadzieję, że faktycznie masz rację. W sensie, że chodzi o człowieka, a nie jakieś zombie. Bo wtedy zrobi się mniej ciekawie – rzekł.
- Gauleiter, zamiast coś odpowiedzieć, oglądał zdobienia na bramie.
- U nas w Scholandii – zaczęła. – też są legendy o bramach różnego rodzaju. I o tej z Trzyczaszkowa też słyszeliśmy. Jednak nigdy nie spodziewałem się, że zobaczę ją na żywo. Popatrz, tu jest wyryta jakaś... Owca?
- John podszedł, rozglądając się trwożnie po okolicy. Całość wyglądała jak wstęp do horroru klasy B prosto z Leblandii. A na bramie widniała owca w najprostszej, patyczkowatej formie – ale zawsze oznaczało to, że rysujący był najpewniej człowiekiem. O ile nic go nie zamieniło w inną formę istnienia, albo gorzej – nieistnienia.
- Chodźmy. Im szybciej to rozwiążemy, tym lepiej – rzekł John.
- Kakulski podążył więc za nim w górę, przechodząc przez Bramę Trzech Czaszek. Obejrzawszy się za sobą, dopiero docenił, jak długą drogę przebyli. W zasięgu widoku było bardzo mało drzew, a najbliższe sąsiedztwo stanowiły skały. Las, w którym jeszcze niedawno wydeptywali ścieżki, był daleko za nimi, przed nimi czekało tylko surowe piękno gór.

### *Czarnolas, mieszkanie w bloku przy ulicy Grodzkiej*

Paulina, leżąc na kanapie, zgłębiała tajniki legend Czarnolasu i okolic. Z każdą przewróconą stroną dowiadywała się coraz to nowszych ciekawostek o tym, jak sobie kiedyś chłopi wyobrażali świat. A że w każdej legendzie jest ziarno prawdy...

Dzięki egzemplarzowi zdobytemu skądś przez diuka Czuguł-Chana, miała jeszcze więcej frajdy, bowiem autor zadał sobie trud, aby na marginesach notować różne sentencje

czarńoleskich autorów, zaznaczać odniesienia legend do miejsc w mieście i inne ciekawe obserwacje. Notatki widocznie były czynione ręką pasjonata.

Nagle zadzwonił telefon. Spojrzawszy na wyświetlacz, odebrała. Ignorowanie połączeń od rodzicielki mogło dla każdego skończyć się katastrofą.

– Jak sobie radzisz? – w telefonie zabrzmiał głos Irminy – Wszystko dobrze?

Po krótkiej rozmowie, Paulina wróciła do czytania. Przewróciwszy stronę, wyprostowała się i położyła książkę na kanapie. Brakowało w niej paru kartek. Nie, nie paru – paręnaście co najmniej zostało wyrwanych bezlitośnie. Dodatkowo, ten ktoś zrobił to bardzo dokładnie, jakby chciał wyrwać treść tylko jednej legendy, bowiem po przerwie z wyrwanych kartek zaczynała się nowa opowieść. Zwykły czytelnik mógłby nawet nie zauważyć, że ktoś zdewastował książkę. Paulina jednak zauważyła. Doczytawszy do końca zbioru legend, przejrzała strony jeszcze raz. Nigdzie nie napisano, do kogo należała książka. Dziewczyna mogła tylko się domyślać, że był to ktoś pedantyczny i ułożony, bo jego pismo było bardzo porządne i zawierało bardzo dużo słownictwa poważnego.

Paulina westchnęła na kolejną zagadkę i chwyciła za telefon.

– Jaśnie Oświecony, przepraszam za niepokojenie, ale czyja jest ta książka?

– Jakuba Bakonyiego – padła odpowiedź po drugiej stronie telefonu – Skąd pytanie?

Buddusówna zrelacjonowała swoje małe odkrycie.

– Hm – zastanowił się diuk – Ta książka, ja właściwie ją przypadkowo mam, bo Kasztelan przyniósł ją do biura i uważnie analizował przez parę dni. Potem porządkował biurko i spytał się mnie, czy nie potrzebuję tej książki, bo on, cytuję, „nie chciał jej widzieć na oczy”.

– Czyli to możliwe, że Bakonyi sam wyrwał te kartki, tak? W takim razie, czy byłbyś w stanie ustalić, co to za legenda? – spytała Paulina, po czym z wrażenia zakryła sobie usta ręką, gdy uświadomiła sobie, że zwróciła się do diuka per „Ty”. Ten jednak zdawał się na to nie zwracać uwagi.

– Myślę, że tak, tylko musisz mi powiedzieć, między którymi opowieściami się znajduje. I daj mi parę dni.

### *Ministerstwo Obrony Narodowej, Srebrny Róg*

– Panie Ministrze, telegram! – do biura wszedł sekretarz, niosąc zadrukowaną kartkę. Zasepiony Wiśnicki odebrał ją i bez słowa zaczął czytać. Wgłębiając się w treść wiadomości, uniósł brew ze zdziwienia. Po chwili był już na linii z Jego Książęcą Mością.

– Nadszedł telegram z Czarnolasu – powiedział do telefonu. – Jeden facet w habicie kręcił się w okolicach czarńoleskiej jednostki. Oni, pewnie nauczeni doświadczeniem, przyskrzynili go i zaciągnęli go do środka, potem zaczęli wypytywać, co i jak. Gościu kręcił się w zeznaniach, aż w końcu sięgnął do kieszeni, i zanim ktokolwiek to zauważył, tyknął proszek. Po minucie był martwy.

– Podejrzewasz, że to jeden z tych, którzy wyciągali żołnierzy z miejsca stacjonowania? – spytał Książę, nawiązując do licznych raportów o zaginionych wojakach.

– Jestem tego pewien – odparł stanowczo minister – Teraz zajmują się jego zwłokami. Ale proszę zauważyć, Wasza Książęca Mość, że przyszedł przygotowany na wszelką ewentualność. Zobaczył, że go zaczynają wypytywać, i wzięł tę tabletkę. Swoją drogą, jeszcze

nigdy nie słyszałem o tabletkę, która potrafi zabijać w ciągu minuty. Nie skłamię, jeśli powiem, że bardzo mnie to martwi.

– Uch... – westchnął Książę – Zróbcie jakąś pułapkę na tych gości. Oni są kluczowi w tej całej sprawie. I znajdźcie w końcu tego Bakonyiego! On nie mógł się zapaść pod powierzchnię ziemi.

– Postaramy się – odparł krótko Wiśnicki, wiedząc, że w rzeczywistości będzie to dalece trudniejsze, aniżeli wypowiedzenie dwóch słów. Cóż jednak czynić, gdy Książę rozkazuje? Wstał więc i skierował się do samochodu. Parę minut później był już na pokładzie samolotu ze Srebrnego Rogu do Czarnolasu.

### *Czarnolas, Mieszkanie przy ulicy Grodziskiej*

– Dzwoniłem po znajomych – w słuchawce odezwał się znajomy głos diuka Czuguł–Chana. Paulina nie mogła nie zauważyć, że jego tembr wywoływał w niej przyjemne uczucia. – Okazało się, że istnieją dwie wersje „Legend Czarnoleskich”. Jedna jest dla dzieci i młodzieży, wiesz, wersja szkolna, a druga jest oryginalna. Ta wersja szkolna jest okrojona, bo wyrzucono z niej legendy, które mogą potencjalnie być niedobre dla młodzieży, znaczy jakieś kontrowersyjne czy dające złe przykłady. Zła wiadomość jest taka, że wszyscy moi znajomi posiadają wersję szkolną. Dobra jest taka, że znam kogoś, kto może posiadać wersję oryginalną, ale muszę do niego zadzwonić jutro.

– Interesujące – odparła Paulina – To wszystko się robi strasznie dziwne, ale i zarazem interesujące...

– Wiem, co masz na myśli – zabrzmiał w telefonie głos diuka. – Dlatego ci pomagam. Normalnie bym ci dawno kazał iść, gdzie pieprz rośnie. Poza tym... – zawahał się na chwilę – Po prostu mnie to niepokoi. Jeśli Bakonyi zmarł, to chciałbym chociaż wiedzieć, gdzie jest pochowany. – zaśmiał się sucho. – No nic, do jutra.

– Do jutra – odpowiedziała Buddusówna. Odłożywszy telefon, zagłębiła się w myślach. Co teraz robić, gdzie iść? Pewne było, że Bakonyi czytał tę książkę niedawno, i że najpewniej to on wyrwał kartki z niej. Ale czemu? Co na nich takiego było? Z pewnością ta książka była dla niego cenna, pisał przecież te notatki na marginesie. Poza tym, taki pedant nie niszczyłby książek, zdecydowanie nie. Zwłaszcza jeśli są istotne dla historii jego regionu.

Nagle wpadła na pewien pomysł. Po paru godzinach stała w drzwiach biura Kasztelana. Zaskoczony diuk Czuguł–Chan wpuścił ją do środka.

– Mówiłem przecież, że jutro... – zaczął, ale Ivette nie zwracała uwagi na jego słowa.

– Gdzie tu jest kosz? – spytała – Kosz na śmieci – sprecyzowała po chwili.

Krzysztofowi chwilę zajęło przetworzenie jej słów. Rozejrzał się po pokoju, uświadamiając sobie, że nie ma pojęcia, gdzie jest kosz, albowiem jeszcze nie miał okazji niczego wyrzucić w tym pokoju. Po pobieżnej obserwacji zawołał sekretarkę.

– Helenko, przepraszam cię za kłopotanie, ale nie wiesz może, gdzie tu jest kosz na śmieci? Drobna brunetka rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Hm, właściwie to chyba zawsze był pod biurkiem...

Paulina, nie czekając, dała nura pod drewniany mebel, wstając po chwili, aby unieść kosz.

– Jest! – zawołała. Krzysztof dyskretnie oddelegował sekretarkę, która wyglądała na zdziwioną całą sytuacją, zaś Ivette zaczęła przenosić rzeczy z pojemnika na biurko. Szczęśliwie,

Kasztelan wyrzucał tylko papiery, zaś jedzenie i picie miał zwyczaj konsumować w osobnym pokoju, więc nie było żadnych trudności w przeglądaniu zawartości. Po chwili dziewczyna uniosła ręce, tryumfalnie pokazując diukowi pęk kartek papieru.

– Legenda o Źródle Niepokoju! – krzyknęła i zasiadła na fotelu, aby zapoznać się z jej tekstem. Krzysztof podszedł i patrzył na kartki nad jej ramieniem.

– Coś kojarzę – powiedział – To chyba było o tym, że jakiś rolnik zapuścił się w Góry Trzyczaszowskie w poszukiwaniu owcy i znalazł jakieś źródło ognia...

Paulina zagłębiła się w lekturę. Po kwadransie odwróciła się do Krzysztofa.

– Tak, to jest mniej więcej tak, jak mówisz. Znalazł źródło ognia i zapragnął go, bo chciał, aby ogień płonął w jego duszy, więc wielcy przedwieczni go wrzucili tam. Zginął na zawsze, w mękach i bólu, a ogień zyskał jego siły życiowe. A że wiemy, że taki rolnik ma niezłe siły, to wybuchł, znaczy, ten ogień, i spłynął do dolin, gdzie poczynił wielkie zniszczenia.

– Kompletnie nie wiem, czemu wyrzucili tę legendę z wersji szkolnej – skomentował Kasztelan – Morał przecież jest, „nie podchodź do ognia”.

Paulina zaśmiała się cicho.

– Pewnie dlatego, że człowiek kierował się złymi motywami. Ale nieważne – spoważniała. – Ważnym jest, abyśmy się zorientowali, co to ma wspólnego ze zniknięciem Bakonyiego.

– Hm – zastanowił się Czuguł-Chan – Bakonyi studiował tę książkę przed exodusem, wyrwał kartki o tej legendzie i dał mi resztę zbioru opowiadań. Ej! – wpadło mu nagle do głowy. – A notatki?

Ivette spojrzała jeszcze raz na kartki trzymane w ręku. Faktycznie, były one pełne notatek na marginesach. W ferworze chwili kompletnie zapomniała o nich, koncentrując się na treści legendy. Teraz spojrzała uważnie na notatki. Większość wyglądała na starsze, napisane wiecznym piórem, jednak było parę nowszych, zrobionych długopisem. Pismo w owych było mniej staranne, jakby autor się spieszył. Jedna z nich, obok podkreślonego zdania o zagubionej owcy, głosiła: „Owca – symbol? Z tyłu habitu ją miał”. Druga znajdowała się obok wzmianki o wielkich przedwiecznych – „czy ktoś tu próbuje grać Boga?”. A trzecia nie dotyczyła żadnego konkretnego zdania. Po prostu – Paulina nie wiedziała, jak mogła tego wcześniej nie zauważyć – pod ostatnim zdaniem legendy było napisane wielkimi literami: „Bzdura, bzdura, bzdura!”. Całość dodatkowo była podkreślona dwukrotnie.

– Uważał, że to bzdura – powiedziała cicho Ivette – Pewnie się zirytował, napisał to, wyrwał kartki i wywalił je do kosza. A potem dał książkę tobie.

– Twierdząc, że nie chce jej widzieć na oczy, tak – odparł Czuguł-Chan – Co mnie dziwi, to ekspresja w tych słowach. On zazwyczaj był stonowany. I kto to jest ten od habitu z owcą?

– Nie mam żadnych skojarzeń co do zakonów posiadających owcę jako swój symbol. – rozłożyła ręce Ivette. – Mogę poszukać, ale wątpię, żeby coś się znalazło. Nawet jeśli, to nie jest to z naszej części świata.

– A może w ogóle nie z naszego świata...? – zaśmiał się cicho Krzysztof. – W końcu to Czarnolas. Trzyczaszkowo nie tak daleko. A tam zaczęły się wszystkie dziwne rzeczy. Ginący ludzie, zwierzęta... Niedługo w mieście będzie stan wyjątkowy. Oczywiście, nie mówi się o tym głośno, ale sytuacja jest krytyczna.

– Trzeba znaleźć Bakonyiego jak najszybciej – Paulina wstała z fotela. – On musi gdzieś być!

– Pytanie, gdzie – rzekł Czuguł-Chan. – Jak mówiłem, przeszukano cały Czarnolas i jego

pozamiejskie siedziby. Nawet tę w Srebrnym Rogu.

– Ale zobacz – zaczęła Paulina – Zobacz, on przeglądał tę legendę. Normalnie by się nawet nie zainteresował zbiorem tych legend. Przy żadnej innej nie ma notatek z ostatnich dni, zrobionych długopisem. Załóżmy, że coś zobaczył w tym Źródle Niepokoju. Nie uważasz, że wiedziałby, że mógłby zniknąć?

– W sumie... – zamyślił się diuk. – Mógłby zostawić wskazówkę. Ale słowo „mógłby” jest tu kluczowe. Nie musiał.

Ivette zaczęła chodzić po biurze kasztelańskim i uważnie oglądać każdy zakątek.

– To musi być coś mało charakterystycznego. Normalny petent tego by nie zauważył, ale ktoś bywający często w biurze... – odwróciła się do diuka – Ktoś często bywający w biurze musi to zauważyć. Do roboty, Jaśnie Oświecony!

Czuguł-Chan tylko westchnął i też zaczął się rozglądać po pomieszczeniu, powątpiewając w szansę znalezienia czegokolwiek w tym bałaganie. Wprawdzie zdołał załatwić część spraw, ale papiery na biurku wciąż domagały się jego uwagi. Właściwie to nimi powinien się zajmować, a nie szukaniem dziwnych rzeczy z jakąś dziennikarką. Po paru minutach złapał się na tym, że zamiast szukać możliwych wskazówek, patrzy się beczynnym na panoramę Gór Kocich.

– To dziwne – rzekł na głos. Paulina, zaalarmowana tym stwierdzeniem, przestała obmacywać ściany i podeszła do Krzysztofa.

– To dziwne – powtórzył – Te trzy kółka na Pradziadzie. Nie widziałem ich tu wcześniej, a jednak zawsze, gdy wchodziłem do biura Kasztelana, miałem widok na tę panoramę.

– Może to jest to? – pisnęła podekscytowana Ivette – Tylko co one by oznaczały?

– Trzy kółka... – powiedział powoli diuk – Trzy...

– Trzy czaszki! – powiedzieli równocześnie.

– Góry Trzyczaszkowskie! – krzyknęła Paulina – To z pewnością to! Dał nam wskazówkę, żeby szukać w tych górach!

– Ale szukać czego? Tego źródła? – z powątpiewaniem rzekł diuk, opadając na fotel. – Słuchaj, ja to wszystko bardzo doceniam, ale to zaczyna robić się coraz bardziej absurdalne. Co, jeśli Bakonyi po prostu czytał tę legendę, niekoniecznie parę dni temu, ale wcześniej? Po prostu zdecydował się zrobić jakieś notatki, był wybitnie zirytowany czy coś, i potem stwierdził, że bierze urlop, ot tak?

– A te kółka? – zapytała Buddusówna, patrząc na diuka z ogniem w oczach. – To też czysty przypadek?

– Dzieciak Bakonyiego mógł przyjść do biura i mu narysować, jemu różne dziwne pomysły do głowy przychodziły. Nie to, co ojciec – westchnął diuk – W każdym razie, powinienem się zajmować pracą, a nie bawieniem się w zagadki. Wybacz. I tak ci już sporo pomogłem.

– Rozumiem – odparła cicho Paulina – Do widzenia.

Rudowłosa dziewczyna odwróciła się i skierowała się w kierunku drzwi. Naciskając klamkę, zatrzymała się na chwilę, jakby chciała coś powiedzieć. Zawahała się i wyszła z biura, głośno trzaskając za sobą wiekowymi odrzwiami. Idąc w kierunku wyjścia z budynku, usłyszała dźwięk przychodzącego SMSa. Wyciągnąwszy z przepaści swojej torby telefon, odczytała wiadomość: „Widziałam wczoraj Akademika w barze Nawiewna z jakąś blondynką. Zerwaliście?” – wyświetliło się na ekranie.

Paulina przyspieszyła kroku.

## *Lotnisko im. księcia Unisława w Czarnolesie*

Wiśnicki spokojnie czekał, aż kolejka się rozluźni i będzie mógł wyjść z samolotu, nie przepychając się. Z każdą minutą zaczynał się coraz bardziej denerwować. Księżę dał jasne dyspozycje co do tego, że trzeba znaleźć szybko odpowiedzialnych za ostatnie wydarzenia w Czarnolesie. Było to o tyle trudniejsze zadanie, że nie do końca można było zdefiniować „ostatnie wydarzenia”. W mieście po zniknięciu Kasztelana narosło tyle plotek, że w zasadzie codziennie można było usłyszeć, że „przez te dziwne rzeczy to mi krowa padła”. Ciężko było zweryfikować, czy faktycznie było to dziełem nieznanymi sprawców zagrażających spokojnemu i uporządkowanemu miastu, czy po prostu chuligani skorzystali z sytuacji i wandalizowali posesje.

Ponadto, minister obrony narodowej zwyczajnie lubił swoje stanowisko i biurko, zza którego mógł sterować wojskiem. Nieśpieszno było mu się rozstawać z nim przed końcem kadencji, a poczynił już pewne kroki, aby i w następnej piastować ten fotel. Jednak obecna sytuacja zagrażała zarówno jego przyszłemu ministrowaniu, jak i obecnemu. Gdyby były to jakieś zamieszki — po prostu przywróciłby porządek siłą. Ale teraz nie wiedział nawet, z kim lub czym ma się mierzyć.

Gdy stał przed terminalem drugim na czarnoleskim lotnisku, miał pustkę w głowie. Zdecydował się w końcu zamachać na taksówkę, aby zawiozła go do biura kasztelańskiego, gdzie mógłby porozmawiać z nowym włodarzem miasta. Ku jego zdumieniu, zanim zdążył wyciągnąć rękę, żółty samochód już jechał ulicą i zatrzymał się dokładnie obok niego.

– Szybkie są te czarnoleskie taksówki! – mruknął pod nosem, rozsiadając się z tyłu. Gdy samochód odjechał, Wiśnicki zaczął się czuć dziwnie sennym. Nieco zaniepokoiło go to, że nie podał żadnego adresu kierowcy, a mimo tego ten wiedział, gdzie jechać, ale w sumie to nie było aż tak ważne wobec ogarniającej go przemożnej potrzeby zaśnięcia.

## *Gdzieś w Czarnolesie*

Ivette szła ulicami, próbując sobie ułożyć jakiś plan działania w głowie.

– Przede wszystkim, muszę się znaleźć w Górach Trzyczaszkowskich – mruknęła – Tylko gdzie i jak? Przecież linie lotnicze nie mają tam żadnego połączenia, pociągi też nie jeżdżą... Auta też lepiej nie brać, wątpię, czy dojadę...

Nagle ją olśniło. Przecież niegdyś, przebywając w Czarnolesie, miała styczność z kimś, kto na pewno by wiedział. Gdy ktoś anonimowy wyrwał część drewna z płotu w posiadłości, którą wynajmowała, następnego dnia wszystko było naprawione. Co ciekawsze, w południe jej dom odwiedził jeden z hersztów czarnoleskiego podziemia, przepraszając za kłopot i podając adres, pod który powinna przyjść, gdyby potrzebowała pomocy.

A ta teraz niewątpliwie się przyda. Ivette wyjęła z torebki notatnik, w którym przechowywała wszystko. Po chwili znalazła kartkę, której szukała. Zerknąwszy na nią, przyśpieszyła kroku.

Po chwili już rozmawiała z odpowiednią osobą. Jasno i konkretnie wyłożyła swoją sprawę. Mężczyzna zamarł na chwilę.

– To dosyć niebezpieczne zadanie – rzekł – To są dziwni ludzie, którzy robią dziwne rzeczy. A

jestem szefem najdziwniejszych ludzi w tym mieście, więc wiem, co mówię.

– Nie mogę tego teraz porzucić – odparła Ivette, potrząsając swoją burzą włosów – Wiem, że to ryzykowne, ale potrzebuję wiedzieć, jak mogę się tam wkręcić.

Mężczyzna westchnął i zaczął mówić. Po paru minutach wiedziała już sporo. Gdy dostała szczegółowe wyjaśnienia, podziękowała i wstała z krzesła. Miała już zwrócić się w stronę drzwi, gdy jej rozmówca zatrzymał ją.

– Może się przydać – mruknął. Paulina miała już na końcu języka pytanie, o czym mówi, ale nagle poczuła w swojej ręce zimną stal. – Niejednych zabijał – dodał mężczyzna.

Pistolet faktycznie wyglądał na mocno używany.

### *Gdzieś w Górach Trzyczaszkowskich*

Szli coraz dłużej, coraz wyżej i coraz częściej zastanawiali się, czy obrali dobrą drogę. Jak na razie, nie było widać żadnych niezwykłych zjawisk. Na dobrą sprawę nie wiedzieli nawet, czego szukać. Według relacji świadków, góry powinny być pełne nadprzyrodzonych potworów. W sumie to dlatego też pewnie nie były zbyt często odwiedzane. Natomiast teraz Gauleiter i John na najdziwniejszej wycieczce swojego życia mogli tylko podziwiać piękno niezmienionych przez człowieka gór.

– Chyba przydałoby się gdzieś zatrzymać – orzekł John, patrząc na zachód słońca.

– Czy tobie też wydaje się, że to słońce... nie jest żółte? – spytał się Gauleiter, patrząc w stronę horyzontu. – Takie... zielonkawe?

– No może trochę... – odparł. – Ale tu wszystko jest dziwne. O, patrz – machnął ręką. – Tam jest jakaś grotka!

Po chwili już siedzieli i konsumowali kanapki, które dał im gospodarz z lasu.

– Niewiele ich zostało – mruknął Rasmusen.

– Trzeba będzie w końcu zrobić to, co mamy zrobić – odparł Scholandczyk. – Cokolwiek to jest.

– Dobrze, że wiemy, co... – parsknął John. – To zaczyna się robić nieciekawe. Nie wiem nawet, ile dni jesteśmy na tej wyprawie. Nie mamy kontaktu z centralą, nie daliśmy im nawet znać, co się dzieje. Wanda wie, co tam wyrabiają teraz w Czarnolesie czy Grodzisku.

Gauleiter oparł się o ścianę i... poczuł pustkę za sobą. Z przerażenia podskoczył.

– O k...! – krzyknął, odwracając się. – Co to, k..., jest? – cofnął się, upewniając się, że John stoi za nim.

Ściana, która przed chwilą miała służyć jako oparcie dla Gauleitera, zniknęła. Zamiast niej, pojawiła się dziura.

– To wygląda na jakiś tunel – orzekł John po bliższych oględzinach. – Wchodzimy?

– Tylko daj mi dojeść kanapkę – odparł Gauleiter, siadając na środku jamy – Potem nie będziemy mieli pewnie czasu na takie prymitywne czynności, jak jedzenie – stwierdził, wyciągając z plecaka kolejną bułkę.

– Ciekawe, w jaki sposób się otworzył... – mruknął John – Przed chwilą go tu nie było.

– Może to, że siadłem, aktywowało go? – zasugerował Scholandczyk.

– Możliwe, albo może po prostu się otwiera akurat o tej porze. Niczego się nie dowiemy, jeśli nie wejdziemy tam – stwierdził John.

Po chwili już szli wydrążonym przejściem. Gdy John postawił pierwszy krok, nagle zapaliły się

pochodnie, wskazując dalszą drogę.

– Czują na człowieka – mruknął – To znaczy, że ktoś z niego korzystał.

– Albo korzysta – dodał Gauleiter – To nie brzmi... zbyt ciekawie. – orzekł, czując narastającą gęsią skórę.

Z każdym kolejnym krokiem obu podróżników ogarniała coraz większa niepewność co do tego, co napotkają dalej. Tunel był długi, a końca nie było widać.

– O k...! – krzyknął nagle John, czując, że coś się pod nim obrywa.

### *Gdzieś w Górach Trzyczaszkowskich, w innej ich części*

Paulina wmieszała się w tłum anonimowych twarzy. Wszyscy wyglądali tak samo, a jej rude włosy były ukryte pod wielkim kapturem, co sprawiało, że nikt nie zwracał na nią uwagi. Wprawdzie, prosząc o pomoc w dostaniu się do tajemniczego bractwa, które było najprawdopodobniej sprawcą ostatnich dziwnych wydarzeń w Czarnolesie, nie spodziewała się wielu cudów. Ale ten, jak się okazało, doskonały znawca starosarmackiego podziemia wiedział, gdzie i o co pytać. W ten sposób znalazła się razem z tłumem w jednej z jaskiń Gór Trzyczaszkowskich. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale miała oczy i uszy szeroko otwarte.

– Po prostu podążaj za tłumem – tłumaczył jej mężczyzna, którego odwiedziła w Czarnolesie – To dziwni ludzie, więc uważaj. I zmieć ich z powierzchni ziemi, jakbyś mogła – przymrużył oczy. Ivette uznała, że to był niekonwencjonalny żart, aczkolwiek mogła się zgodzić co do tego, że póki co członkowie Zakonu Nepalskiego nie byli zbyt oryginalni ani ciekawi.

– Źródło już niedaleko! – rozległ się głos. – Bądźcie cierpliwi, już niedługo nadejdzie nasz czas. Paulina, dyskretnie się rozglądając, zlokalizowała osobę przemawiającą. Był to niewysoki mężczyzna, znajdujący się na swojego rodzaju podeście ze skał.

– Mamy swoich szpiegów tam, gdzie trzeba. Donoszą nam o tym, co trzeba. Wiemy, że niewiele brakuje, aby w Sarmacji zapanował chaos. A wtedy nadejdzie nasz czas. Czas zemsty! – grzmiał – Wybudzimy martwych, weźmiemy żywych i nakarmimy źródło!

Wśród zakapturzonych mnichów rozległ się szmer aprobaty. Paulina zaczęła się zastanawiać, w co wdepnęła.

### *Gdzieś w Górach Trzyczaszkowskich*

– Hmmpff... – wydusił z siebie Wiśnicki, usiłując zorientować się w swoim otoczeniu. Dookoła było ciemno. Na domiar złego, bolało go dosłownie wszystko. Podwijając nogi, próbował kucnąć.

– Lepiej leżeć, i tak się nigdzie nie powinieneś spieszyć. – odezwał się głos z ciemności.

– Ale Książę... – zaczął Wojciech – Miałem polecieć do Czarnolasu... W sumie to chyba poleciałem... – zastanowił się, próbując sobie przypomnieć ostatnie wydarzenia, które zapamiętał.

– Do Czarnolasu to i ja bym chciał. – zgodził się głos – Ale tutaj tak jakby nie ma wyjścia stąd. A przynajmniej takowego nie odkryłem.

– Ale... gdzie właściwie jesteśmy? Pamiętam, że złapałem taksówkę... I nic potem nie pamiętam... – Wiśnicki próbował sobie bezskutecznie przypomnieć, co robił w tej taksówce i

gdzie go zawiozła.

– Mnie też samochodem zawieźli tutaj. Miałem załatwić jedną sprawę, wyszedłem z biura i wsiadłem w taksówkę zamówioną przez mojego lokaja. Powinienem był wiedzieć, że to podstęp, zbyt podejrzanie się zachowywał. A zatrudniłem go miesiąc temu – westchnął głos z oddali. – Kim w ogóle jesteś? – spytał.

– Eee, Minister Obrony Narodowej, Wojciech Wiśnicki, do usług – odparł minister, wzdychając na myśl o swojej karierze, która z pewnością załamała się w momencie jego zniknięcia. – A Pan?

– Kasztelan Czarnolasu, Jakub Bakonyi, też do usług, aczkolwiek wątpliwych – rzekł głos.

– O k...! Znaczy się, przepraszam... – Wiśnicki zaskoczony aż się podniósł, usiłując znaleźć jakąś ścianę, na której mógłby się oprzeć. – Znaczy, my niby pana od miesiąca szukamy...

– To już miesiąc? – Kasztelan brzmiał szczerze zdziwiony. – Kompletnie straciłem poczucie czasu.

– Nie dziwię się – westchnął Wojciech – Cały czas tu siedzieć... To będzie ciekawe.

– Wydawało mi się, że zostawiłem dosyć wyraźną wskazówkę w biurze – Bakonyi zmarszczył czoło. – Możliwe, że ekipa poszukiwawcza jest na naszym tropie – dodał.

– Dobra, a, hm... Dlaczego w ogóle nas porwali? – spytał minister.

– To dobre pytanie – odrzekł Bakonyi – Gdy w moim biurze pojawił się jakiś dziwny mnich, wieszczący nadejście jeszcze dziwniejszych ludzi, nie zwróciłem na niego zbyt dużej uwagi. Ale potem mnie zaciekawił, więc podjąłem śledztwo. Dziwnym trafem, dostałem ze wszystkich bibliotek w mieście raporty, w których wyszczególniono także zaginione książki. Była tam jedna pozycja, która zniknęła prawie ze wszystkich instytucji. To był zbyt wielki przypadek, żebym na to nie zwrócił uwagi. Wiem, że ludzie uważają mnie za bardzo biurokratycznego i praktycznego... – przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu. – Ale jak widzę, że coś naprawdę jest nie tak, to przecież nie będę tego ignorował.

– Jaka to była książka? – zainteresował się Wiśnicki.

– Legendy Czarnoleskie. Coś, co każdy posiada w swoim domu. Tym bardziej zdziwiło mnie to, bo tak naprawdę, żadna osoba z Czarnolasu nie miałaby powodu, aby dokonywać kradzieży tej książki. – kontynuował Jakub. – Po przeprowadzeniu dochodzenia, także i w mniej chlubnych kręgach miasta, natrafiłem na coś. Na Zakon Nepalski. Słyszałem dziwne rzeczy o nich. Myślałem, że to bzdurne plotki, ale...

Nagle opowieść Bakonyiego przerwał huk. Dało się słyszeć spadające skały, a po chwili na nodze Wiśnickiego wylądowało coś ciężkiego.

– O k...! – krzyknął ktoś.

– O, nie spodziewaliśmy się tutaj gości – sucho rzekł Bakonyi.

– Gauleiter! Kakulski! Scholandczyku, cholera mać! Jesteś tam? – darł się nowoprzybyły.

– Jestem – dało się słyszeć głos dobiegający jakby z góry – A ty gdzie jesteś?

– No tak jakby... spadłem – odparł John, próbując się podnieść.

– Na moje nogi – uzupełnił Wiśnicki – Bardzo mi miło – dodał.

– Oj, przepraszam... – zarumienił się Gellończyk – Ja niechcący...

– Panowie – przerwał wymianę uprzejmości Kakulski, pochylając się nad dziurą. Pochodnie z tunelu dały trochę światła w ciemnym pomieszczeniu, dzięki czemu wszyscy uczestnicy konwersacji mogli się widzieć nawzajem. – Panowie, może zacznijmy od ustalenia, kto tu jest i

czemu?

– No, mnie chyba porwali – oznajmił Wojciech – Jestem ministrem obrony narodowej.

– Porwali ministra? – zdziwił się John. – Co to się dzieje w tej Sarmacji, człowiek się wybierze z dala od cywilizacji, a tu takie rzeczy...

– A ja jestem Kasztelanem Czarnolasu – odezwał się Jakub – Bakonyi, do usług. I nawiasem mówiąc, dziękuję za oświetlenie. Brakowało mi tego.

– Powiniennem schodzić? – spytał rzeczowo Gauleiter – Bo ten tunel jeszcze dalej się ciągnie.

– Hmm... – zadumał się John – Generalnie to nie mam jak wejść z powrotem. Za duża odległość między mną a sufitem. Tu są drzwi, ale rozumiem, że wyjść się nie da, bo w przeciwnym razie tych panów tutaj by już nie było – dodał.

Jakub tylko pokiwał głową.

– Nie da się ich otworzyć od wewnątrz – rzekł.

Po chwili ustaleń i dyskusji orzeknięto, że Gauleiter pójdzie dalej eksplorować tunel, a Rasmusen, Wiśnicki i Bakonyi pozostaną w pomieszczeniu, dopóki Scholandczyk nie odkryje jakiegoś wyjścia dla nich.

John tylko oparł się o ścianę, ogarniając wzrokiem pomieszczenie. Nie chciał się rozstawać z towarzyszem podróży, niekomfortowo się czuł ze świadomością, że będzie musiał tu tkwić i nie może za wiele zrobić. Kakulski jednak już poszedł, więc Rasmusen tylko westchnął i rzucił w przestrzeń:

– To jak tu trafiliście?

### *W innej części Gór Trzyczaszkowskich*

Gauleiter czuł się równie niekomfortowo, pokonując tunel w pojedynkę. Zastanawiał się, czy nie jest on przypadkiem tajnym przejściem, prowadzącym do miejsca, gdzie są ludzie, z którymi zdecydowanie nie chciałby się spotkać. I którzy zdecydowanie nie byliby zadowoleni z tego, że nawiedził ich ktoś nieznan.

Ale musiał iść przed siebie. Aż w końcu doszedł. Jego oczom ukazały się wrota. Scholandczyk z pewnym zawahaniem podszedł do nich. Wychodziło na to, że wystarczyło nacisnąć klamkę, aby się otworzyły. Pytanie brzmiało – co za nimi się znajduje?

Ale nie miał innego wyjścia, nieprawdaż? Gdy otworzył drzwi, zobaczył jasno oświetlone pomieszczenie. Jego wzrok padł na biurko, za którym ktoś, stojąc, przeglądał papiery. Scholandczyk odruchowo cofnął się.

Osoba stojąca za biurkiem podniosła wzrok na dźwięk hałasu, sięgając ręką do kieszeni.

– Jesteś z tego zakonu? – spytała dziewczęcym głosem.

– Jakiego zakonu? – odparł Scholandczyk. – Chyba nie jestem – dodał, zauważając, że nieznajoma osoba wyciąga coś na kształt pistoletu. – Zdecydowanie nie jestem.

– Co w takim razie tu robisz?

Kakulski streścił cel swojej wyprawy oraz nakreślił obecną sytuację, mówiąc stanowczo zbył szybko.

– Nie ma czasu do stracenia – orzekła tajemnicza osoba po wysłuchaniu opowieści Gauleitera. – Musimy znaleźć drzwi do tego pomieszczenia, wziąć Bakonyiego i resztę, a następnie ich jakoś wyprowadzić. Właśnie szukam jakichś map. Nikt nas nie nakryje, bo

zamknęłam pokój od środka. Ale jeśli mamy przejść przez jaskinię pełną mnichów, to powinieneś być ubrany jako jeden z nich.

– Wyjściem jest ten tunel – powiedział Gauleiter – On prowadzi na zewnątrz. Tylko trzeba uważać na tę dziurę. A co do stroju mnicha... – rozejrzał się po pomieszczeniu, już znacznie bardziej wyluzowany. – Tutaj jest jakiś.

– Okej, jak się nazywasz? – spytała zniecierpliwiona dziewczyna.

– Kakulski. Gauleiter Kakulski, miło mi. Chociaż moglibyśmy się spotkać w lepszych okolicznościach – skłonił się z gracją.

– Paulina Ivette Buddus, też mi miło – odparła sucho – To teraz się przebierz i pomóż mi szukać czegokolwiek w tym bałaganie.

### *Gdzieś w Górach Trzyczaszkowych*

– Nepal... – mruknął John – Czego oni od nas chcą?

Nagle ze strony drzwi rozległ się dźwięk ich otwierania. Trójka mężczyzn zastygła w milczeniu, niepewna, czy właśnie ktoś przyszedł ich uratować, czy wręcz przeciwnie, wysłał ich na śmierć. Bakonyi szybko wstał, podszedł do Johna i gestem wskazał najciemniejszy, słabo oświetlony kąt.

– Oni nie wiedzą, że tu jesteś – szepnął. Rasmusen chciał zaprotestować, ale strach przed niepewnym losem wygrał. Dał nura do kąta, akurat w momencie, gdy drzwi się uchyliły.

Do środka weszły dwie zakapturzone osoby. Coś szwargocąc między sobą, zatrzymały się pod dziurą.

– Czyżby próbowali uciec? – spytał tubalny bas – Czyżbyśmy odnaleźli sposób na ucieczkę? Nie martwcie się, i tak za godzinę traficie tam, gdzie jesteście przeznaczeni. A wtedy już nic dla Was nie będzie miało znaczenia.

– Wątpliwe – orzekł drugi, niższy człowiek, przypatrując się dziurze – Lontu nie mieli. A to wygląda na niezły wybuch. Może ktoś szedł tunelem?

– Tunelem? Sądysz, że ktoś odkrył tunel? – zmarszczyła brwi pierwsza osoba – To niedobrze, to nie jest tunel dla zwykłych śmiertelników.

– Powinniśmy wysłać strażę – zasugerował niższy osobnik.

– Może po prostu zaraportujmy o tym generałowi – odparł pierwszy – Ale nie można ich zostawić bez straży... Mogą uciec.

– Jakoś nie uciekli teraz. Nie mają jak – zauważył jego rozmówca – Zaraz wrócimy. Chodź.

– No dobra – odparł bez przekonania i podążył za znikającym mnichem, zamykając drzwi.

– „Tam, gdzie jesteście przeznaczeni”? – spytał głośno Wiśnicki – Co to znaczy?

– Wolałbym chyba nie wiedzieć – szepnął Bakonyi.

John tylko wytyczył słuch. Wydawało mu się, że słyszy odgłosy jakiejś bijatyki. Po chwili drzwi znowu się uchyliły.

– Jesteście tam? – wyszeptał Kakulski – Chodźcie, szybko!

Mężczyznom nie trzeba było powtarzać. Poderwali się z miejsc i ruszyli ku wyjściu. Nieco osłabiony długim więzieniem Bakonyi poruszał się wolniej, ale wciąż starał się nadążyć za resztą.

Grupa zagłębiła się w korytarze nieznane nikomu oprócz Pauliny, która przestudiowała

uprzednio mapę i wiedziała mniej więcej, którądy iść. Dlatego też ona prowadziła, za nią szedł John, w środku Bakonyi, a na końcu Wiśnicki i osłaniający pochód Kakulski.

– A wy dokąd? – spytał ktoś, wyłoniwszy się z drugiego końca korytarza. Ivette szybko zlustrowała sytuację i wyciągnęła z głębi habitu pistolet. Kierując lufę prosto w nieznanego, wystrzeliła. Nie przewidziała jednego. Za zakapturzonym mnichem stała grupa zakonników uzbrojonych w miecze. W przyływie strachu i adrenaliny dziewczyna zaczęła strzelać na oślep. Mężczyźni usiłowali się cować przed gradem pocisków, jednocześnie wymachując mieczami w stronę strzelającej i czyniąc próby podejścia do niej. Gauleiter i John, początkowo zdezorientowani, rzucili się na pomoc Ivette, wymierzając kopniaki. Niestety, miecze cięły ostro i Scholandczyk dorobił się rany na ramieniu. John z kolei miał już powalić jednego z mnichów na ziemię, ale ten machnął mieczem, przecinając część skóry na nodze Raamusena. Mężczyzna złapał się za kończynę i upadł na ziemię. Wojciech i Jakub go podnieśli, jednocześnie próbując się obronić przed zakonnikami. Cały efekt zaskoczenia jednak wziął w łeb, gdy Paulinie skończyły się naboje w pistolecie, a czwórce walczących zabrakło sił witalnych. W ten sposób ostatecznie przegrali i chwilę potem szli w nieznaną stronę, konwojowani przez mnichów.

– Przynajmniej próbowałam – mruknęła pod nosem Ivette, bardziej dla dodania sobie animuszu i powstrzymania strachu, który powoli ją ogarniał.

– Zadarłaś z niewłaściwymi osobami. Zadarliście z niewłaściwymi osobami wy, Sarmaci – odparł jeden z mnichów – I za to odpokutujecie. Jako pierwsi.

– Źródło z radością przyjmie taką ofiarę – zgodził się drugi mnich.

– Wrzucicie nas do źródła? – spytał John, nie wiedząc wprawdzie o czym mowa, ale myśląc, że nawiązaniem rozmowy może kupić czas całej grupie.

– Oczywiście. Źródło z radością powita krew i kości. A potem świat będzie nasz – powiedział jeden z mnichów. – A teraz zamilczcie i zastanówcie się nad waszymi grzechami wobec naszego narodu.

– Ale kim wy właściwie jesteście? – spytał Gauleiter.

– Zakonem Nepalskim – odparł jeszcze inny mężczyzna okutany w habit – Już raz przybyliśmy do was. Wygoniliście nas. Tym razem tego nie zrobicie. Wróciliśmy jeszcze mocniejsi i potężniejsi. Wiemy, jak budzić tych, którzy śpią pod ziemią. I to zrobimy.

– A źródło nam pomoże w dziele – nabożnie dodał kolejny – Źródło wiecznego niepokoju, Źródło Ognia, źródło z legend, które istnieje naprawdę.

– Uciszcie się, głupcy, zagadają was, a nie dojdziemy do generała! – zirytował się mnich przewodzący grupę – Sami się dowiedzą wszystkiego... Gdy spojrzą w źródło.

– A będziemy mieli chociaż czas na sporządzenie testamentu? – spytał głośno Gauleiter, trzymając się za krwawiące ramię – To powinno być prawo każdego obywatela przed jego śmiercią.

Wypowiedź Scholandczyka wywołała nerwowe śmiechy w grupie Sarmatów i parsknięcia ze strony mnichów.

– Generał powie – oznajmił poważnym tonem zakonnik – A oto i jesteśmy przed jego biurkiem.

Chwilę później, gdy generałowi objaśniono sytuację, ten rozejrzał się surowo po twarzach pięciorga Sarmatów, którzy się spotkali przypadkiem i najprawdopodobniej przypadkowo mieli razem umrzeć, aby zrealizować plan pierwszej inwazji jakiegoś zakonu na Księstwo. Absolutnie

żadnemu z nich nie podobała się ta perspektywa.

– Zostaniecie poświęceni Źródłu Ognia – oznajmił przełożony Nepalczyków – Źródło pożywi się wami i z mocą, jaką mu dacie, będzie zdolne obudzić wszystkich leżących pod ziemią w tej krainie.

Ivette aż zatchnęła się na obraz zaprezentowanej koncepcji.

– Ojej... – mruknął Gauleiter.

John był przerażony. Bakonyi podzielał jego uczucia. Wiśnicki tępo patrzył przed siebie i zastanawiał się, dlaczego właściwie chciał zrobić karierę w resorcie obrony narodowej.

– A gdy się obudzą... Zejdą do dolin i tchną ogień w każdy sarmacki dom. Podpalą fundamenty. A potem przyjdziemy my i dokonamy naszej zemsty na Sarmatach. Rozpocznie się flejm. – zakończył z widoczną mściwą satysfakcją w głosie – Dostaniemy zadośćuczynienie za nasze cierpienie, gdy wygoniliście nas ze swoich serwerów. Gdy odmówiliście pomocy nam.

Nie pozostało im nic innego, jak podążyć – będąc otoczonymi przez mnichów – za generałem. Ich oczom ukazała się wielka jaskinia, w której było bardzo gorąco. Na środku żywym ogniem płonęło źródło. Źródło, które domagało się ofiar.

Najpierw wzięli Wiśnickiego. Nie opierał się, miał świadomość, że był słabym ministrem. Potem poszła Ivette, dzielna dziewczyna, która chciała uratować Kasztelana. Potem i sam Bakonyi. Osoba, przez której zniknięcie w Sarmacji panował już chaos. A na końcu Gauleiter i John, podróżnicy, którzy podjęli wyzwanie i teraz za to płacili własnym życiem.

Źródło zapłonęło ogniem tak żarliwym i tak pełnym blasku, że mnisi przez chwilę bali się, że wyleje się na nich. Potem zatrzęsło górą, ruszając w jej dół i wypływając dołem w dolinę. Z gór powoli zaczęli się wychylać ci, których dawno pogrzebano, zarówno w ziemi, jak i myślach. Ogień flejmu ogarnął cały kontynent. Ci, którzy zostali ożywieni przezeń, zeszli w doliny, wspomagając ogień tam, gdzie nie zdołał on zniszczyć wszystkiego. Niewiele pomogły odezwy Kanclerza Grigorija do narodu sarmackiego, uspokajające, że straż pożarna jest w gotowości i działa, na bieżąco reperując szkody.

To był koniec Sarmacji.

*2 czerwca 2012 roku nastąpiła awaria serwerów sarmackich. Zamiast tradycyjnej strony Księstwa, wyświetlał się portal o trekkingu w Nepalu. Co więcej, był on sukcesywnie uzupełniany o nowe działy – cały czas na stronach sarmackich. Dopiero po paru dniach strona wróciła. W międzyczasie Sarmaci znaleźli schronienie w Nowej Przystani.  
katastrofa nepalska – pamiętamy.*

### **komentarz odautorski:**

O kurczę, udało mi się to w końcu skończyć. To najdłuższy tekst, który napisałam na potrzeby mikroświata i w jego realiach. Co więcej, jest to pierwszy tekst, który mi się udało ukończyć. Większość dalej jest schowana w szufladach i czeka na kontynuację. Cieszę się, że zdołałam coś takiego napisać. Ale jednocześnie uświadomiłam sobie, że przede mną jeszcze długa droga do tego, aby pisać dobrze i wciągać ludzi w światy, które kreuję.

Dlatego też docenię wszelkiego rodzaju uwagi. Krytykujcie. Oceniajcie. Liczę na Was. Dajcie znać też, jak się wam podobało zakończenie. Pierwotnie miał być *happy end*, ale w trakcie pisania wyszło coś innego. Chyba nawet lepiej.